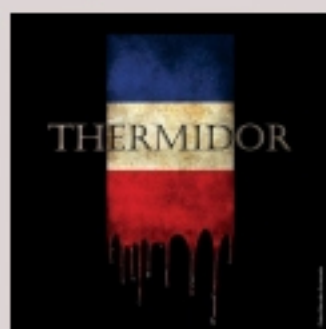


Czysta formalność



"Thermidor" - reż. Edward Wojtaszek - Teatr Polski w Warszawie

Spektakl z warszawskiego Teatru Polskiego przywraca wiarę w sceniczny agon. To przedsięwzięcie nie miało prawa się udać. Dramat Stanisławy Przybyszewskiej to za słaby materiał, aby można było sobie na nim poużywać, zawiera zero wskazówek, które dałyby szansę na interpretację czy choć poszerzenie pola widzenia problemu. Więcej nawet: trudno w nim odnaleźć cokolwiek, co wiązałoby go z dzisiejszą rzeczywistością.

Jeśli jeszcze "Sprawa Dantona" Przybyszewskiej - na podstawie której Andrzej Wajda zrobił swój słynny spektakl (1975) i film (1982), a Jan Klata swoje jak dotąd najlepsze przedstawienie (2008) - sprawdzała się jako rzecz o samonapędzającej się rewolucji bez końca i nadawała się na przebojowy teatr, to "Thermidor" pozostaje jej niemal przeciwieństwem mimo podobieństwa tematów.

Jeśli to przeciwieństwo, to pytanie, na jakiej skali rozpięte i czy nie bezpieczniej dziś znów zmierzyć się ze "Sprawą..." i nie zapuszczać na teren tak wymagający. Wymagający, bo "Thermidor" to właściwie sam rygor konwersacji w narastającym konflikcie: najpierw argument, potem kontra, spięcie, znów atak i wreszcie wygrana lub przegrana jednej ze stron. Łatwo postawić zarzut, że to retoryka wprzęgnięta w reguły dramatu, co przeważnie nie przynosi korzyści ani tekstowi, ani teatrowi, który zostaje przez niego uruchomiony. Ale tym razem tak nie jest. Przybyszewska daje lekcję tego, co w scenicznej praktyce najistotniejsze: dialog bez podpórek; kto nazwie to agonem, trafi w dziesiątkę, bo przy okazji doprecyzowuje, że chodzi o bitwę na argumenty. Edward Wojtaszek tak odczytuje ten dramat, nie stawia się w roli demiurga porządkującego po swojemu sceniczną rzeczywistość. To umiejętność, którą niegdyś nazywano często reżyserią dyskretną.

Jesteśmy w przededniu upadku Robespierre'a, za chwilę dyktator wyląduje pod gilotyną, lecz my jeszcze tego nie wiemy, co więcej, finał, jaki znamy z lekcji historii, ma tutaj mniejsze znaczenie. Oglądamy spisek, który zawiązuje się przeciwko dyktatorowi w jego otoczeniu, choć najciekawszy jest ten moment bycia "pomiędzy", bo właściwie to punkt dojścia do intrygi - Przybyszewska rozumiała, że w chwili przełomów mechanizmy władzy montowane w kuluarach mogą się jeszcze odwrócić o 180 stopni, decydują dogodny moment, manipulacja, nawet wykorzystanie byle jakiej okazji, by kogoś przekupić. Dlatego Fouché czy Collot, gdy zarzucają Robespierre'owi, że zatracił się w tyranii, realnie ten sam zarzut stawiają sobie - to naturalnie pochodna fascynacji Przybyszewskiej Robespierre'em, lecz także wyciągnięcie przez Wojtaszka na pierwszy plan tego, co z psychologicznego punktu widzenia w tekście najciekawsze. Dlatego gdyby pokazywać w tym spektaklu integralne części, należałoby wskazać na przeplatające się rytmy: snucie przez spiskowców odważnych wizji i nieustanne wahanie, czy je wcielić w czyn, bo przecież za chwilę sami złapią się na tym, że w kolejce na gilotynę czekają krok za swoim patronem. Wpadają w spiralę przeciwieństw, od której nie udaje im się uciec nawet z pomocą fraz wyjętych z traktatów o władzy. Strach i panika decydują o tym, co mówią i jak mówią, jednak przed sobą grają mężów stanu gotowych do każdej riposty. Ten strach widać lepiej z dystansu, dlatego przy scenografii ograniczonej do negocjacyjnego stołu daje to specyficzny efekt; to nerwowe uciekanie wzroku, te próby chowania się po kątach, gdy np. Collot (Szymon Kuśmider) przeczuwa, że partner rzuca mu prawdę w oczy, biją po oczach przede wszystkim widza. Wojtaszek więcej odkrywa dla niego, bo precyzyjnie czyta dramat jako rozgrywkę w mikroskali, którą tutaj jest komnata spiskowców. A widz skupiony na tym polu gry może ich przyszpilić, trzymać pod soczewką. To działa bez zarzutu. Tym bardziej że rozumiemy już tło wydarzeń, patrzymy na nie jak na exemplum historyczne. To też daje frajdę.

Nie zaistniałoby to przedstawienie nie tylko bez odczytania Wojtaszka, lecz również bez aktorskiej świadomości ustawiania się w konkretnych wymaganiach i nieprzeszarżowania. Kuśmider jest aktorem wybitnym i udowadnia to niemal we wszystkich repertuarowych wyborach Andrzeja Seweryna. Jego role w Teatrze Polskim na pewno staną się jeszcze tematem niejednego eseju i nawet jeśli wiele potyczek z klasyką w Polskim kończyło się porażką, to zawsze było to "ale", bo grał Kuśmider. W "Thermidorze" jego sekret tkwi w wątpliwości: triumfowaniu i wycofywaniu, gestach tak skrajnych, tutaj zaś ledwo rozróżnialnych, rodzących się w samym spojrzeniu. Tylko w detalach da się przejrzeć maskującego się człowieka. Wyższy poziom zawodowstwa.

Ale jest jeszcze Marcin Kwaśny jako Robespierre pojawiający się w ostatniej odsłonie, by przekonać Saint-Justa (też świetny Krzysztof Kwiatkowski), kto tu tak naprawdę uprawia politykę. I pozostawić po sobie zagadkę osobowości. W paręnaście minut przydaje Kwaśny setek wątpliwości co do Robespierre'a i żadnych trafnych odpowiedzi.

Powiedziałbym, że to przedstawienie, w którym nie wolno poruszyć najdrobniejszego fragmentu. Jednak w finale doradziłbym Edwardowi Wojtaszkowi rezygnację z kurtyny, na którą spływają krople krwi. Nie dopowiadajmy tego. Nad tą rozgrywką i tak już wisi katowskie ostrze.

Przemysław Skrzydelski

wSieci

1 grudnia 2015

Spektakle

"Thermidor" - reż. Edward Wojtaszek - Teatr Polski w Warszawie

Teatry

Teatr Polski w Warszawie